

Z. L. RADZIMINSKI.

# Pułkownik Marcin hr. Tarnowski

Kościuszkowski i Napoleoński żołnierz.

W SETNĄ ROCZNICĘ ZGONU  
TADEUSZA KOŚCIUSZKI.

---

Przedruk z „Kurjera Lwowskiego“.

---

LWÓW.  
NAKŁADEM REDAKCJI KURJERA LWOWSKIEGO.  
Z Drukarni Polskiej, ul. Chorażczyzny 31.  
1917.



II 187.900

1944 K. 125 / 13194

Gdym oddawał na Wystawę Kościuszkowską litografię, przedstawiającą ostatnie chwile śp. pułkownika M. Tarnowskiego, towarzysza broni Kościuszki, stanęły mi żywo w pamięci wspomnienia mej młodości, związane z tą istic Bayardowską postacią „sans peur et sans reproche“, którą obecnie pragnę wydobyć z zapomnienia, za uprzejmem pośrednictwem gościnnych łam Szanownego „Kurjera Lwowskiego“.

Marcin hr. Tarnowski, syn Jana Amora, kasztelana Konarsko-Lęczyckiego i Tekli z Pankraczewic Grabianczanki, podczaszanki Latyczowskiej, urodził się 11. listopada 1778 r. w zamku rodzinnym Kozińskim na Wołyniu, w ówczesnym powiecie Krzemienieckim położonym, od Kozińskich przez Firlejów do Tarnowskich drogą spadku przeszłym. W chwili, gdy kończył swe studia naukowe we Lwowie, rzuca je na odgłos powstania Kościuszki i pospiesza do Warszawy, gdzie się zaciąga w szeregi wojska narodowego i pozostaje w korpusie broniącym stolicy; po powołaniu generała Tomasza Wawrzeckiego na miejsce wziętego do niewoli Kościuszki, na najwyższego Naczelnika i przybyciu Wawrzeckiego do Warszawy, zostaje mianowany jego adjutantem, a wysłany przezeń z rozkazem na Pragę, bierze udział w jej obronie podczas Suworowskiego szturmu.

Po zakończeniu tych bohaterskich walk o niepodległość Ojczyzny i ostatecznym rozbiórce kraju, powraca na Wołyń, gdzie po przeistoczeniu województwa w gubernję Wołyńską i utworzeniu powiatu Dubieńskiego, zostaje powołany w 1799 r. do łaski marszałka szlachty tego powiatu którą bierze po Kajetanie Miączyńskim, wybranym w

tym roku marszałkiem gubernjalnym Wołyńskim. W końcu r. 1805 żeni się z Zofią hr. Tarnowską, córką Rafała, chorażęgo Halickiego, generał-majora wojsk koronnych i Urszuli Ustrzyckiej, zmarła bezdzietnie. W r. 1809 wystawia własnym kosztem 16. pułk ułanów, którego zostaje mianowany dowodzącym pułkownikiem w dniu 20. sierpnia t. r. przez księcia Warszawskiego. Walczy i odbywa na czele jego kampanje w latach 1809, 1812 i 1813. Odznacza się specjalnie w bitwie pod Mirem 9. i 10. lipca 1812 r.; mamy przed sobą raport z niej generała Roźnieckiego do generała dywizji Latour-Maubourg, datowany 14. lipca t. r., w którym między innymi szczegółami znajdujemy: że walkę rozpoczął przed Piasecznem 9. lipca podnia pierwszy szwadron trzeciego pułku ułanów Radziwińskiego (Aleksandra), szarżując na kozaków, których przewrócił („culbuta“) i wpędził do Mira, za nim przeszedł pułkownik Radziwiński z resztą swego pułku dla podtrzymania swego pierwszego szwadronu, mając do czynienia z pięciu pułkami kozaków, szły mu na pomoc dwa szwadrony pułku 26. i jeden 15. Bój był zażarty, nieprzyjaciel poniosł o wiele większe od nas straty. Nazajutrz rano, zdający raport generał Roźniecki, wyruszył ze swoją dywizją na Mir ku Nieświeżowi, przednie strażę spotkały nieprzyjaciela w Siennikowej, widząc przeważające siły, gdyż cały korpus kozaków Płatowa i Howajskiego był tu połączony, wraz z dywizją dragonów i huzarów. Nie miałem zamiaru, powiada Roźniecki, stoczenia z nim bitwy, ale on ufny w swoją liczebną przewagę, wypadł ze wszech stron i obsypując armatnimi strzałami wysunięte naprzód oddziały, załął momentalnie swoją lekką kawalerją całą równinę Siennikowską, którą wzmocniły jeszcze nadbiegłe pułki dragonów i huzarów, i oczywiście walka przybrała jeszcze zaciętsze rozmiary. Trzeci pułk (Radziwińskiego) i szesnasty (Tarnowskiego) szarżo-

wały co najmniej po czterdzieści razy każdy i okryły się chwałą („le troisième et le seizième fournirent au moins quarante charges chacun et se couvrirent de gloire“). Około 9 wieczorem nadeszły rosyjskie rezerwy i uderzyły na nasze lewe skrzydło, ale również pospieszył ze swoją 19 brygadą i półbaterją artylerji generał Tyszkiewicz, który powstrzymał wznowiony zapal nieprzyjaciela. Zostałem, dodaje Roźniecki, panem placu, nieprzyjaciel zostawił nas w pokoju.

Dzień ten, w którym w ciągu sześciu godzin toczyła się najzaciętsza walka, przy olbrzymiej liczebnej przewadze sił nieprzyjaciela, musiał go przekonać o wyższości Napoleońskiego żołnierza. Pułki: dragoński Kijowski i ułański Achtyrski poniosły dotkliwe straty; generał dywizji Pahlen, pułkownicy Adrijanow i Howajski zabici, pole bitwy pokryte trupami: Kozaków, Kałmuków, Baskirów i Tatarów — z naszej strony nie padł nikt z wyższych oficerów — wszystko, co się było podtrzymało honor armji. „Jednem słowem trzy tysiące kawalerji walczyło w ciągu sześciu godzin przeciwko ośmiu tysiącom Kozaków, trzem tysiącom regularnej kawalerji, dwóm pułkom pieszych strzelców i trzydziestu armatom“. Z oficerów, którzy się w tym boju odznaczyli, poleca Roźniecki łasce cesarskiej: generała Turnę, pułkowników Radziwińskiego i Tarnowskiego, dowódców szwadronów Dwernickiego i Descour'a, kapitanów Szymańskiego, Bardzkiego i Gliceskiego, oraz adjutantów generała Turny: kapitana Turnę i porucznika Linka. Za odznaczenie się w tej i innych bitwach w kampanji rosyjskiej, pułkownik Tarnowski zostaje mianowany kawalerem Legji honorowej, rozkazem dziennym Napoleona, datowanym w Moskwie 11. października 1812 r. Również za te walki, jak i w roku następnym w Niemczech, otrzymuje krzyż polski kawalerski Zasługi wojskowej, zaś od Murata, króla Neapolitań-

skiego, naczelnika całej jazdy, order wojskowy Obojga Sycylii „del Real Ordine“. W tych wojnach dwukrotnie był ranny. Przy kapitulacji Drezna dostał się do niewoli i jako jeńiec wojenny był trzymany przez pół roku w Presburgu. W reorganizacji wojska polskiego rozkazem dziennym 20. stycznia 1815 r. pułkownik Tarnowski otrzymuje dowództwo 3. pułku strzelców /konných, lecz już 9. grudnia t. r. uwalnia się z wojska i rozkazem dziennym otrzymuje dymisję z prawem noszenia munduru. Powraca na Wołyń i zamieszkuje w Bereźcach w powiecie Krzemienieckim, odziedziczonych po bracie Wincentym, marszałku Krzemienieckim, zmarłym bezżennie. Za należenie do spisku Dekabrystów 1825 r. aresztowany i wprost z polowania wywieziony do Petersburga, przez cztery lata tam więziony, badany i do Warszawy do konfrontacji z innymi spiskowcami wożony, na wolność wypuszczony i wkrótce ponownie w grudniu 1830 r. aresztowany i do Kurska wywieziony, przesiedziwszy tam do końca 1831 r., powrócił nareszcie na Wołyń z wygnania z dobrej zasłużoną aureolą męczennika za sprawę wolności i osiadł już na dobre w ulubionych swych Bereźcach, dzieląc swój czas między trudy administracyjne znacznej fortuny, której trzeba było goić rany, zadane długoletnią nieobecnością właściciela, a obowiązki usług obywatelskich, którym sprostać uważał zawsze za święty obowiązek, nie żałując na to zdrowia, trudu i własnego mienia. Dom jego kto to taki? Piszący te słowa skorzystał z i kieszeń pełna, stały otworem dla braci szlachty Wołynia, Podola, Ukrainy, a nieraz i dalszych prowincji Polski i Litwy.

To też w ciągu lat trzydziestu roilo się tu od tłumnie odwiedzających ubóstwianego Patryarchę, nietylko wymienionych trzech naszych prowincji, ale i kraju całego, zwłaszcza o świętym Marcynie 11. listopada, dniu imienin i zarazem urodzin puł-

kownika, gdy każdy spieszył do Bereziec dla odwiedzenia i uczczenia nietylko uczestnika Kościuszkowskich i Napoleońskich bojów, męczennika za sprawę wolności, wielkiego patrioty, ale i przezacnego obywatela kraju i rozjemcę-sędziego spraw obywatelskich, tak honorowych, jak i majątkowych, najdrażliwszej natury.

Na te zjazdy często przyjeżdżały osoby mało komu znane, a czasami nieznane nawet samemu gospodarzowi. Zabawne z tego powodu bywały epizody, zakrawające na wymysły, a jednak prawdziwe. Między innymi, bodaj czy nie na ostatnim św. Marcynie, obchodzonym w Bereźcach, w wigilię dnia tego podjechał pod ganek pałacu jakiś nieznany, opakowany powóz, z którego wysiadł również nieznany, już niemłody człowiek; zebrani u okna, przyległego do wejściowego pokoju, zwykli goście, zaciekawieni koby to był, bo nikt z obecnych rozpoznać przybyłego nie mógł, nawet po głosie, gdy wszedł do pokoju i serdecznie się witał z gospodarzem, który na jego powitanie pospieszywszy, zapytywał go o zdrowie żony, dzieci, powodzenie itd. — wysyłają najmłodszego ze swego grona, mówiąc doń: „Ciebie pułkownik lubi, masz u niego łaskę, więc nie złaże za ciekawość, zapytaj go słynny z gościnności, gorące serce, mądra rada chwili, gdy przybyły gość zajęty był przed zwierciadłem naczesywaniem resztek tylnych włosów na potężną łysinę, zapytał o jego nazwisko pułkownika, na co ten dość głośno odpowiedział: „Jak ciebie kocham, nie wiem kto to jest, ale musi być poczciwy człowiek, bo o św. Marcynie pamięta.“ Otóż okazało się potem, że to był jakiś stary kawaler z okolicy Bałty, przybyły w chęci subrowania się najczcigodniejszemu, jak się wyrażał, Patryarsze kraju i poznania jego Wołyńskiej rezydencji, o której mu jakieś bajeczne rzeczy opowiadano.

Zarzucono mu, że czasami przepoławiał pre-

tensje materialne, jak to mówią, krakowskim targiem, „mocium panie po połowie“, ale w takich wypadkach najczęściej się tem kończyło, że gdy deszło do uszu pułkownika narzekanie ze strony rzekomo pokrzywdzonego, zapraszał go do swojego pokoju i z całą otwartością i żołnierską rubaszością pytał o sumę pokrzywdzenia, a gdy zainterpelowany mu ją wyjawiał, pułkownik zostawał na chwilę swego gościa, szedł do sąsiedniej kasy, wyjmował z niej oznaczoną sumę, wkładał ją do koperty, którą starannie pieczętował i uśmiechnięty, z pogodnym czołem podchodził do gościa, częstokroć nie domyślającego się o co rzecz chodzi, mówiąc: „przeczytasz zawartość koperty w domu, tylko wara odpowiadać mi na nią, bo się śmiertelnie obrażę, a teraz chodźmy na obiadek“, względnie na kolację i na tem sprawa się zwykle kończyła, bo niktby się nie ośmielił protestować przeciw autokratycznemu w danym wypadku wyrokowi zacnego pułkownika. Również w oryginalny sposób przychodził on z pomocą swoim przyjaciółom, między innymi cytują następujące zdarzenie: miał on sąsiada, dawnego swego podkomendnego, z którym go wiązały serdeczne przyjacielskie stosunki, był to zacny człowiek, dosyć zamożny, ale nieporządnie prowadzący swe interesy, tak, że nieraz grosz grosza nie doganiał i pan porucznik zmuszony bywał do zaciągania drobnych pożyczek na wysokie procenty u braci w Izraelu, w powiatowym swem mieście, i bardzo często zapominał o terminach obowiązujących, stąd bywał w ciągłych kłopotach, które mu nie pozwalały myśleć o drobiazgach, jak np. o zapalniczkach do fajki, które zastępował zwijanemi w trąbkę ćwiartkami papieru, zapalanemi przy ogniu wciąż gorejącym na kominku, ale i tych czasami brakło; zauważył to i zapamiętał poczciwy pułkownik, więc kiedyś przed imieninami porucznika pojechał do wspólnego miasta powiatowego, wykupił tam najskrupula-

tniej wszystkie rewersy solenizanta, pozwiał je w trąbki i utworzywszy z nich spory pęk związany wstążką o barwach herbowych porucznika, pojechał na imieniny i przy składaniu życzeń wręczył mu ten „sui generis“ bukiet, mówiąc: „zamiast kwiatów, przywożę ci zapalniczki do fajki, których brak zauważyłem podczas mej ostatniej u ciebie bytności.“

Ale jeżeli był tak ofiarny dla swych współbraci, to ofiarność jego znacznie się potęgowała, gdy chodziło o potrzeby Kościoła, Ojczyzny i cierpiącej ludzkości, wówczas dłoń pułkownika spieszyła pierwsza z hojną pomocą.

Zarzucono mu jeszcze, że na liczniejszych w Bereźcach zebraniach, oprócz polowania, któremu się z całą młodzieńczą namiętnością do końca oddawał i do niego gości swych zachęcał, grano dużo w karty, co było poniekąd prawdą; nikt się tam jednak tak dalece nie zgrywał, bo byłby gospodarz do tego nie dopuścił, i raczej samby w jakiś delikatny sposób katastrofie zapobiegł, co rzekomo parę razy miejsce miało. A trzeba przytem wiedzieć, że w czasach tak zwanych Bibikowskich, tolerowano tylko te liczniejsze zebrania, na których polowano i w karty grano — i że nieraz pod pretekstem zabawy przy zielonym stole, poważnie radzono i rozstrzygano kwestje o wiele ważniejsze, pożyteczniejsze i charakter publiczny na sobie noszące.

Do ciekawszych epizodów z ostatnich lat życia pułkownika, na które patrzałem, zaliczam podróż jego do Sławuty dla rewizytowania ks. Romana seniora Sanguszki, z którym stosunki były nieco naprężone, skutkiem wyroku kompromisarzskiego pułkownika, w sprawie spadku po hr. Klementynie z ks. Sanguszków, siostrze ks. Karola na Zaslawiu i Smolanach, 1-o Władysławowej Ostrowskiej, 2-o Leonowej Małachowskiej, między ks. Eustachym ojcem ks. Romana, a spadkobierca-

mi trzech ciotek jego, marszałkówien w. litewskich: Anny ks. Antoniowej Jabłonowskiej, Krystyny Franciszkowej Bielińskiej i Kunegundy Franciszkowej Czackiej; była to jedna z niewielu spraw, której praktykowanym przez pułkownika procederem załatwić nie było można, ztąd naprężenie stosunków przez długie lata się przeciągające. Pracowano usilnie nad zbliżeniem do siebie tych dwóch najzaciejszych i najdostojniejszych przedstawicieli naszego społeczeństwa na Rusi, ale nadaremno; aż nareszcie przeznaczy ks. Roman zrobił pierwszy krok i odwiedził pułkownika w Bereźcach, gdzie oczywiście był witany i podejmowany z należą mu czcią i potrojona przez sędziwego gospodarza gościnnością i uprzejmością. Z kolei więc wypadło i naszemu pułkownikowi odbyć tę przeszło stu kilometrową podróż do Sławuty, o czem nie omieszkało ks. Romana zawiadomić.

W dniu przeto i czasie przybycia oznaczonych, ks. Roman w otoczeniu kilkudziesięciu jeźdźców na dzielnych sławuckich bachmatach, wyjechał na spotkanie pułkownika do wsi Taszki, o sześć kilometrów od Sławuty odległej; gdy dano znać, że ekwipaż pułkownika się zbliża, muzyka ukryta w lesie nade drogą zagrała marsza wojennego; ks. Roman zakomenderował gromkim głosem „baczość, cwałem!” i ruszył z kopyta, a cały orszak za nim i w kilka minut powóz pułkownika został otoczony, ks. Roman zsalutował po wojskowemu i z młodzieńczym animuszem zeskoczywszy z konia rzucił się w objęcia wysiadającego, rozczulonego do łez pułkownika, a i niejedni z otoczenia, patrząc na powtórzoną, wspaniałą scenę pojednania „coram populo“ dwóch naszych bohaterów-męczenników za sprawy narodowe, łzę radością uromi i upatrywał w tem szczęśliwy „omen“ dla przyszłości skolatanej niezgodą naszej biednej Ojczyzny! Po tem serdecznem powitaniu, kalwakata z ks. Romanem na czele, otaczając powóz pułkowni-

ka, ruszyła do Sławuty, gdzie przed podjazdem pałacowym nastąpiły ponowne salutowania, powitania, wzajemny uściski i ceremonialne odprowadzenie zdrożonego pułkownika do paradnych apartamentów dlań przygotowanych. W całej tej rozrzucającej scenie było coś tak uroczystego i serdecznego, że się wyrzyło i pozostało na zawsze w pamięci, jak gdyby to się wczoraj działo. Dalszego toku przyjęcia, jak uczyt obiadowej z łoszakiem na olbrzymim półmisku podanym, tej tradycyjnej hetmańskiej potrawy, któremu towarzyszyły odgłosy surm bojowych, licznych toastów wznoszonych półtora wiekowym węgrynem ks. marszałka w. litewskiego, a w liczbie tych pobratymstwa broni zawartego nad brzegami Worskli, między w. ks. Litwy Witowtem, a ks. Podola Spytkiem z Melsztyna, krwią ostatniego tamże przypieczątowanego, wskrzeszonego zaszczytnie przez obecnego dostojnego gościa i nieżyjącego już ojca gospodarza, ks. Eustachego, w walkach Kęćciuskowskich i Napoleońskich, od Wisły do Moskwy staczanych i innych szczegółów tego wielkopańskiego festynu opisywać nie będę, bo mi już tu i pamięć nieco szwankuje.

Drugim z kolei epizodem z życia Berezieckiego w mej pamięci pozostałym, jest ostatni bal pożegnalny w Bereźcach w maju 1861 r.

Pułkownik przeczuwając zbliżający się już kres swojego życia, chciał przedewszystkiem uregulować swoje interesy majątkowe, co też nie zwlekając dopełnił, przelewając na wnuków siostry rodzonej Marji Antoniny Janowej Wisłockiej, a synów jej córki Pauliny Janowej hr. Tarnowskiej, Jana i Kazimierza Tarnowskich klucze: Bereziecki na Jana, Koziński na Kazimierza. Poczem postanowił wyjechać na koniec żywota do Krakowa, gdzie chciał, jak się wyrażał, być bliżej wielkich duchów narodowych, ukochanych swych wodzów: Kościuszki i ks. Józefa. Uprzednio jednak zapragnął

przyjąć raz ostatni i pożegnać świat swój wołyńsko-podolsko-ukraiński, wśród którego tyle lat przeżył — zamierzył przeto dać i dał wielki bal pożegnalny, na który zjechało się kilkaset osób, a w tej liczbie kilkadziesiąt pań, które na liczniejszych berezieckich zebraniach nie bywały, gdyż to były zebrania wyłącznie męskie. Nie potrzebuję tu powtarzać, że przyjęcie było wspaniałe, najgościnniejszy gospodarz przeszedł sam siebie; usposobienie gości, ożywione nadziejami, jakie przynosiły wieści z Warszawy i zagranicy, o powstającej z letargu Ojczyźnie, było wesołe, ale zarazem niepozbawione głębszej myśli o przyszłości kraju i konieczności zreformowania samych siebie, wobec w tym roku ogłoszonego emancypacyjnego manifestu 19. lutego; na dowód czego przytaczam tu wiersz zaimprovizowany przez śp. Antoniego Pruszyńskiego i chórem entuzjastycznie odśpiewany przez zgromadzone w wielkim salonie grono biesiadników, przed rozrzuconym do łez pułkownikiem:

Weselmy się bracia moi,  
Gdy pułkownik między nami,  
On otuchę w sercach roi,  
Gdy przewodzi Polakami.  
Bo pamięta Trzeci Maj,  
Gdy był szczęśliw Polski kraj!

Chwat to wielki pan z Tarnowa  
I do szabli i do szklanki —  
W radzie mądra jego głowa,  
Z najteższemi idzie w szranki,  
Takich ludzi Boże daj,  
Co jak Marcin kocha kraj!

Pod Kościuszką bił się twardo,  
Każdy dobrzę to pamięta —  
Wrogom stawiał czoło hardo,  
Jak on, ciężkie dźwigał pęta.

Takich ludzi Boże daj,  
A szczęśliwym będzie kraj!

Do Was teraz tu zebrane  
Piękne Polki to należy,  
Starych Ojców cnoty znane  
Do serc wpajać dziś młodzieży.  
A Bóg wróci Trzeci Maj  
I cnotliwym będzie kraj!

Zaniechajcie próżnych strojów,  
Róża własnym blaskiem świeci,  
Nie żałujcie pracy, znojów,  
By w mierności kształcić dzieci.  
A Bóg wróci Trzeci Maj  
I szczęśliwym będzie kraj!

Dżentelmenów nam nie trzeba,  
Mamy dosyć tej powodzi,  
Niech nam polska, żyzna gleba  
Cnych Polaków tylko rodzi.  
Takich ludzi Boże daj,  
Co jak Marcin kocha kraj!

Niechaj szlachcie nie ucieka  
Od chłopka, co ziemię kraje,  
Niechaj widzi w nim człowieka,  
Kształci jego obyczaje.  
A Bóg wróci Trzeci Maj  
I szczęśliwym będzie kraj!

Po tym świetnym, długopamiętnym, pożegnalnym balu, pozostał jeszcze pułkownik przez kilka miesięcy w Bereźcach, ciężko mu bowiem było rozstawać się na zawsze z ukochaną swoją siedzibą; ale nadchodził październik, na który zapowiedziana była wspaniała manifestacja Horodelska, w rocznicę wiekopomnego aktu Unji Litwy z Koroną 2., respective 8. października zawartego — nieodrodny potomek Leliwitów wspominał na wielkiego przodka Jana z Tarnowa, co jeden

z pierwszych przyłożył doń swoją pieczęć i nie czekając dłużej, jak żuraw zerwał się do odlotu i podążył nad Bug, by w tem samem Horodle, raz ostatni już w życiu zadokumentować, że był zawsze tam, gdzie mu obowiązek prawego syna Ojczyzny być nakazywał. Z Horodła odwiedził zdaje mi się jeszcze krewnych w Lubelskiem i podążył do Krakowa na mieszkanie.

Oto co o tej krótkiej już niestety dobie pobytu jego na ziemi powiada Ludwik Dębicki w serii pierwszej swych portretów i sylwetek na str. 16—17: „Pułkownik Marcin Tarnowski różnił się od starych wojskowych polskich, osiadłych w Krakowie tem, że z więzień petersburskich i łodów Syberji przyniósł w duszy ogień zapału — zaledwie u młodzieńców zrozumiały. Pamiętamy, jak się oburzał Kościuszkowski żołnierz, gdy mu przedkładano, że nowe powstanie, którego wszyscy się lękali, będzie zgubą i zatrąną sprawą narodową. Ostatni przedstawiciel pierwszego polskiego powstania czekał niecierpliwie, aby dożyć nowego hasła i pobudki. Codziennie dosiadał rumaka, aby siły utrzymać. Zamiłowany myśliwy, na łowach w Zatorze u Maurycego Potockiego, gdy koń zbyt żywy poniósł starca — Tarnowski utrzymał się w siodle — lecz cugli ściągnąć nie zdołał. W kilka dni z doznanego wstrząśnienia zakończył długi, bohaterski żywot. Umierającego odwiedził biskup Łętowski (eks-kapitan ze sztabu ks. Józefa) i rzekł: „Już czas pułkowniku, zdaj komendę — Bóg wola!“ — i podał ostatni wijatyk. Ostatni Kościuszkowski żołnierz nie doczekał chwili, kiedy byłby stanął znów w obozie.“

Muszę tu dodać do charakterystyki pułkownika, że w dyskusjach, osobliwie w sprawach publicznej natury, był niezmiernie zapalczywy. Pamiętam jak kiedyś w Zahajcach, w domu marszałka Bobra, gdzie się agitowała sprawa uwolnienia i względnego uwłaszczenia włościan w naszych

provincjach, sam obstawał przy obniżeniu ceny ziemi w miejscowości, w której leżały jego majątki, oraz przy innych na rzecz ludu szerokich ustępstwach, i w zapale, gdy się z nim w pewnych rzeczach nie zgadzano, twierdził, iż nie mamy prawa iść przeciw przewodniej myśli nieśmiertelnego naszego Naczelnika Kościuszki. Słyszałem go również w roku jego zgonu, gdym go odwiedzał w Krakowie, gromiącego niewierzących w powodzenie zamierzonego powstania Styczniowego, o którym już wówczas bardzo mówiono — marzył on wtedy, że jak ongi pod Mirem przed pół wiekiem prowadził do ataku swój pułk zwycięski, tak z tem samem, da Bóg szczęściem, poprowadzi jeszcze znaczniejszy oddział powstańczy. Bóg mu w swem miłosierdziu oszczędził boleści patrzenia na klęski i upadek powstania — zmarł on bowiem jeszcze przed jego wybuchem w dniu 21. listopada 1862 r. w Krakowie. Umierał z całą przytomnością, pojednawszy się przedewszystkiem najprzykładniej z Bogiem Stworzycielem, zęgnął ze spokojem, niemal z uśmiechem na twarzy obecnych i nieobecnych krewnych, przyjaciół, znajomych, starych sług swoich; w trakcie czego wyjąwszy ze szkatuły podróżnej przy łożu stojącej, którą otworzyć kazał, grubą fascykul papierów, cisnął go jeszcze własną ręką w ogień na kominie wprost jego łożka gorejący — były to rewersy licznych należności, które miał u niezamożnych przyjaciół swoich, o których niedostatku, jeszcze w ostatniej pomyślał chwili! Jeszcze chwil parę i stary Zygmunt z Wawelu donośnym, poważnym, smętnym głosem ogłosił mieszkańcom Krakowa niedożałowany zgon tego rycerza bez skazy, iście polskiego Bayard'a.

W dniu 24. listopada, po wyniesieniu ciała jego z mieszkania w Rynku do kościoła Panny Marji na barkach oficerów b. wojska polskiego i odprawionych tam solennych egzekwiał, celebrujący



i prowadzący kondukt żałobny eks-kolega zmarłego i prowadzący kondukt żałobny ekskolega zmarłego biskup Łętowski przemówił rzewnie, żegnając przyjaciela i towarzysza broni, poczem odprowadzono go na miejsce wiecznego spoczynku z całą wspaniałością i uroczystością; sznury całunu trzymali: marszałek Sejmu 31 roku Władysław Ostrowski, generałowie Kruszewski i Bystrzonowski, pułkownik Gawroński, byli oficerowie wojska polskiego Wincenty Karwicki i ks. Stanisław Jabłonowski; ordery zmarłego nieśli na poduszkach również b. oficerowie wojsk polskich: Henryk Tomkowicz, Maurycy Potocki, Symonowicz i Kiernicki, za ciałem, niesionem kolejno na cmentarz przez krewnych, obywali, b. oficerów polskich i młodzież akademicką, szła rodzina zmarłego, towarzysze broni i tysiące współrodaków, ze wszystkich niemal prowincji naszego kraju przybyłych, dla złożenia pośmiertnego hołdu i oddania ostatniej posługi dobrze zasłużonemu Patriarsze naszego społeczeństwa.

Autor jednego z pośmiertnych wspomnień o pułkowniku Tarnowskim, zakończył je słowy, które i ja chętnie za nim powtarzam: „Zniknął nam z nim jeden z zabytków najpiękniejszych przeszłości, myślę się, jest to jedna z tych postaci, które nieśmiertelnie w podaniach i wspomnieniach żyć będą, które pochwyci poezja, które się zapiszą na karcie pamiętników, wejdą jasne w historję kraju, bo były prawdziwą jego ozdobą.”

Niczyż więc pamięć tej jasnej postaci, w setną rocznicę zgonu jej świetlanego ideału i ubóstwianego Wodza, po pięćdziesięciu pięciu latach odejścia, nieudolnym mem piórem wskrzeszonej, zachęci innych do jej należytego spopularyzowania.

Październik 1917 r.

Lwów, willa „Luba“.

